

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMERATA.

Na rok fr. 20
Na pół roku fr. 10
Na trzy miesiące . . fr. 5
Dziennik wychodzić będzie: co tydzień, w sobotę.

N^o 2.

DNIA 10 STYCZNIA 1857 ROKU.

Wszelkie zgłoszenia się dotyczące się prenumeraty lub nie, odbierania niniejszego pisma: tudzież przesyłanie pieniędzy, mają być adressowane: à M. Alphonse Potrykowski, rue Neuve-St.-Paul, 14, à Paris.

PRZEGLĄD PISMIENICTWA.

Można temu złorzeczyć lub przyklaskiwać, można w imię ideału nad tém ubolewać, albo w imię postępu z tego się cieszyć, ale nie można temu zaprzeczyć, że wszystko w naszych czasach dąży do upowszechnienia a zarazem i do spowszednienia. Myśl już nie jest numizmatem starannie zbieranym przez miłośników, przechowywanym i cenionym przez rzadkich znawców; jest ona monetą przechodzącą z rąk do rąk, przez rąk jak najwięcej i w miarę właśnie im większego obiegu, tém bardziej cenioną; ale ta moneta bywa nieraz bardzo mieszanego kruszcu a w obiegu swoim traci zazwyczaj wzniosłe piętno nadane sobie pierwotnie w tajemniczej ducha mennicy. Koło cywilizacyjne się coraz rozszerza, promień oświaty nie spoczywa już wyłącznie na wyżynach społeczeństwa i daleko głębiej przenika, nietylko same wielkie mianowniki, ale massy wchodzą w rachubę świata politycznego i moralnego — i któż nie zechce w tém uznać opatrnej woli, któż będzie śmiał zaprzeczyć historycznej konieczności tej przemiany? A wszakże, jak we wszystkich przemianach, tak i tutaj, niepowetowane straty idą w parze z niezaprzeczonymi zyskami, i z dojrzewającym owocem nie jeden piękny liść opada — liść niejednemu od samego owocu miłszy i droższy. Horyzontalna dynamia ludzkości się wzmaga, ale wertykalna opada; działania się stają obszerniejsze, ale dzieła drobniejsze; ogół potężniejszy a indywidualności maleją. W dwóch jedynych wielkich wojnach, których był świadkiem wiek nasz po skończonej epopei napoleońskiej, palmę zaszczytu, palmę powszechnego uznania odniósł ni wódz żaden ani żaden naczelnik; odniosło ją dwóch bohaterów « których imię legia »: *Czwartak* i *Zwaw*: imię pułku nie hetmana, imię massy nie osoby — rzec także można, imię ducha nie geniuszu.

Ten sam objaw postrzegać się daje i w literaturze współczesnej. I tu coraz mniej widzimy mistrzów słowa, a coraz więcej pisarzy, coraz mniej arcydzieł a coraz większy ruch literacki. Artyści, poeci, nie tworzą teraz w zaciśniętych natchnieniach dla umysłów wybranych, sympatycznych, dla tych, z którymi ich łączy spółka ducha i uczucia. I oni też przedewszystkiem massy mają na widoku; massy narzucają im swoje warunki, swoje zachcenia, swoje potrzeby, z których największą a bodaj najfatalniejszą jest potrzeba ciągłego spożywania pokarmu choćby najmniej zdrowego. Jeszcze tak niedawno powiedział Schiller, iż « kto najlepszym swego czasu zadosyć uczynił, ten uczynił dosyć po wszystkie czasy » — ale jakżeż prędko przebrzmiały te piękne, te dumne słowa! Nie najlepszych ale najliczniejszych swego czasu usiłują za-

dowolnić obecni pisarze, i dość uczynili gdy wyrobem swym zapełnili próżnię jednego wieczoru i jednego feletonu. Nic charakterystyczniejszego pod tym względem nad owe wyrażenie *ruchu literackiego*, o którymśmy dopiero co wspomnieli, które w tak powszechne weszło używanie i które tak naiwnie przypomina pokrewne wyrażenia o ruchu kapitałów, kolei żelaznych i t. d. Ale ze zjawiska tego tylko te statystyczne dusze chyba cieszyć się potrafią, które i duchowe bogactwo według ekonomicznych praw popytu i odbytu oszacować zamysławia, które nie o jakość ale o ilość dzieł się pytają i trzypolowe gospodarstwo radęby rozciągnęły aż do niwy poetycznej. Dla każdego myślącego i czującego przeciwnie, fakt to będzie bolesny, przestraszający i stanie się dlań źródłem niejednego skrupułu, niejednej gorzkiej uwagi. Umysł najskłonniejszy do sympatyzowania z ogólną, niwelującą dążnością wieku, najskorszy do uznania jej konieczności, do hołdowania jej sile, do głoszenia jej dobrodziejstw, zachwiać się jednak musi i zaniepokoić, skoro owa dążność się objawia i w dziedzinie sztuki, skoro tworzy zapału, uczucia i wyobraźni przybierają powszechne średnie rozmiary szczęśliwej mierności, skoro i potok natchnień zaczyna płynąć — potocznie, coraz szerszym ale i coraz płytszym korytem. Mniej pałaców a więcej porządných chat; mniej świetnych czynów a więcej dobrych uczynków; mniej bohaterów a więcej obywateli; mniej półbogów a więcej ludzi. Zgoda! Ale czy też i mniej geniuszów a więcej talentów, mniej Rafaelów a więcej Dowów, mniej Irydionów a więcej *Gawęd*? . . . Żądać lub tylko dozwolnić tego, aby sztuka przestała być idealną, natchnioną; żądać lub tylko dozwolnić tego, aby lot swój niebieski zwinęła i poziomego nam dotrzymała kroku, aby zamiast nas prowadzić do słońca, z nami przy naszej ekonomicznej zasiadała lampie — nie jestże to nietylko ubliżyć jej godności, ale odebrać jej wszelką rację bytu? Bo jakież inne jej powołanie, jakież inne może być zadanie jak to, aby nas z cieśni codziennych stosunków prowadziła w świat rozleglejszy i piękniejszy, w świat w którym ustają wszelkie przypadkowości i mierności naszego zwykłego życia, w którym zapał tworzy cudy, a natchnienie łamie, czego rozum łamać nie jest w stanie? I czyż właśnie w czasach jak dzisiejszych nie większa tego niż kiedykolwiek potrzeba? Czyż właśnie w epoce, w której wszystko maleje i powszednieje, nie potrzeba aby przynajmniej poezya nam przedstawiała figury wielkie, idealne, aby wśród otaczającego nas zewsząd dymu, nie działał ale kotłów, odsłaniała nam raz po raz czyste, i jak najczystsze niebo Olimpu, aby nam dała poznać, poczuć, przeczuć choćby tylko, że jest jeszcze wyższa moralność nad dobrze zrozu-

mianą Franklina, i cudowniejsza jeszcze droga nad *rail-way* — ta, która *od serca prowadzi do Boga* ?...

Jeśli z tego stanowiska zechcemy zapatrywać się na znaczenie i powołanie literatury, nie łatwo nam przyjdzie wtórować tym naszym pismom krajowym, warszawskim szczególnie, które z taką chlubą i z takim zadowoleniem wspominają o wzrastającym coraz bardziej pismienictwie naszym, o wzmagającej się liczbie autorów i rozszerzającym się kole czytelników; i będziemy nieraz musieli żałować tych ledwie co ubiegłych, a jednak już tak dalekich czasów, w których rzadkie a wielkie genjusze trzymały pochodnią myśli. Mniej w ówczas było piszących, ale ileż natchnionych! Mniej wtenczas było czytelników, ale ileż za to serdecznych wielbicieli! Mniej biegłości i rutyny, ale ileż zapалу i prawdziwego namaszczenia! Dzieła nieobjawiały się jak dziś tłumnie i stosami, ale każde z nich było prawie czynem — wypowiadało, czasami nawet przepowiadało jakąś wielką kryzę w życiu politycznym lub moralnym, obejmowało w sobie cały świat myśli i uczuć, i ocieżała bryłę człowieka nowemi pchało tory. Literatura nietoczyła się, jak teraz, ciąglem, jednostajnym i powolnym korytem; wyrwała się tylko raz poraz falami, ale falami potężnemi, które uderzając i rozbijając się o męzką pierś narodu, zostawiały po sobie perły i korale i te pieśni nieśmiertelne, z których późne wieki uplotą wieniec Polski ówczesnej. Wiesław i Marya, Grażyna i Konrad, Zamek Kaniowski i Król Zameczyska, Historia Powstania i Dziady, Księgi Pielgrzymstwa i Pan Tadeusz, Nieboska i Irydion, Przedświt i Psalmi, Anelli i Beniowski, Rzecz o Sławiańszczyźnie i Ojciec-Nasz, każdy z tych utworów w był objawieniem, był hasłem do wielkiego boju, był wyzwaniem: nieraz do zwycięstwa, nieraz i do klęski, ale w każdym razie wyzwaniem do walki, do ścierania się sił moralnych, do spotkania się duchów w najwyższej sferze myśli i wiary. Prawdy były żywotne, a błędy tytaniczne; wieszczona były sybilińskie, a złudzenia prometeuszowe. Każdy z tych utworów przedstawiał czyny i charaktery, do których gdy się człowiek choć myśla tylko dociągał, już się stawał wyższym i szlachetniejszym, już szukał szabli u boku, bratniej dłoni obok siebie; każdy z nich dotykał najgłębszych tajemnic ducha i najstraszniejszych zagadek bytu, i pleśniejącą korę zdzierał z drzewa życia i wiedzy. Nad każdym z tych dzieł dumal naród długo i uroczysto; z każdego z nich odbierał wrażenia silne i trwałe; w słuchaczach była ta wzniosłość co i we wieszczach, a spory nawet tych wieszczów nosiły cechę niewypowiedzianej wielkości! Bo któż n. p. obecne mizerne kłótnie naszych literatów będzie śmiał porównać z ową prawdziwą tytanomachią Juliusza i Psalmisty, z owym sporem uroczystym, gromowładnym, który błyskawicą geniuszu raz jeszcze rozświecił niezmiernie głęboką ludzkość, i o którym zaprawdę słowami jednego z jego uczestników powiedzieć się godzi, że w nim walczyły

nie wrogi,

Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — Bogi!

Takich wielkich zadań niestawia już sobie teraz literatura nasza. Brak jej do tego widocznie potrzebnego namaszczenia, może i sumienia; brak jej przedewszystkiem tego piętna cierpienia, o którym mówi Mickiewicz, że jest wcale różnym od boleści pojedynczego człowieka i arty-

stowskiej: cierpienia za miliony. Widać owszem wszędzie pewne zadowolenie, jakąś sceptyczną rezygnacją na *status quo*, jakieś rodzenie bez bólu i bez miłości. Wszędzie uderza ubóstwo myśli, poziomość życzeń, i to próżniactwo ducha, które bynajmniej niewyklucza zadziwiającej nieraz pracowitości pióra. Ztąd i owe zdumiewające niekiedy zaniedbanie stylu, luźne i znużone przeprowadzenie żywo z razu poczętego planu, w ogóle robota pośpieszna, a dowodząca tylko nieuszanowania publiczności i własnej pracy.]

Że w takim usposobieniu umysłów, romans musiał się stać naczelną formą twórczości, jest pojawem równie naturalnym jak bolesnym. Żadna bowiem inna forma do tego stopnia nieodpowiada tej łatwości poczęcia i przyjęcia; żadna inna niewymaga mniej skupienia myśli w autorze, uwagi w czytelniku. Romans jest epopeją *status quo*, jest poetycznym uświęceniem *codzienności*; a pod tym względem rozposzechnienie jego i wziętość którą zyskuje bodajby tylko były estetycznym a nie etycznym symptomem, — niebezpiecznym symptomem i stanu ducha narodowego! Bo zaprawdę źleby było gdyby duch polski chciał wejść w ugodę z obecnością i koncesyję robić ze swego ideału! Do tej ugody i do tych koncesyj romans poniekąd prowadzi...

Wiemy wprawdzie, że romans u nas inne ma uroszczenia, że według jego pisarzy ma on być formą nową, a nawet ostateczną poezji i spadkobiercą wszystkich innych poważnych rodzajów; że P. Korzeniowski uważa go za punkt Archimedesowego punktu twórczości z którego « śmiało wyraca dawniejszą poetykę, nawet swoją własną » i « próżności nazywa te oczekiwania wyższych i bardziej podnoszących utworów »; że P. Kraszewski wita w nim « zwrot ludzi ku badaniu własnego życia, ku jego praktyce, ku poznaniu samych siebie, ku rozpatrzeniu się w sprzętach maszyny społecznej »; że taki podniosły i szlachetny myśliciel jak P. Cieszkowski spodziewał się po nim « samorodnego skojarzenia i jednorodnego rozwinięcia żywiołów poetycznego i filozoficznego ». Ale [wiemy także na jak wątych podstawach ugruntowaną jest cała ta dziwna estetyka, i na wszelkie roszczenia teoretycznej kombinacji mamy odpowiedź gotową w doświadczeniu historycznym, Romans bowiem nie jest bynajmniej nieznanym i naszemu tylko czasowi właściwym rodzajem poezji. Zнали go już Grecy, znali go wieki średnie, i niemalże stos tych plodów spalił balwierz rycerza z La Manchy. Ale u Greków jak i we wiekach średnich, z tamtej jak i z tej strony Pireneów był on zawsze tylko objawem i dowodem wyścieńczającej się wyobraźni, usychającego natchnienia i rozbudzonej żądzy zabaw, w miejsce dawniej poważnej potrzeby ideału. Teoretyków naszych, przed dziesięcią laty, uwiódł chwilowy a potężny sukces, które miały ówczesne plody Balzaca, Sanda, Eugeniusza Sue i Dumasa. Niechże im będzie odpowiedzią dzisiejszy stan literatury francuskiej, w której romans zużył się do szczytu, a twórczość widocznie nową szuka formy.

Od surowego sądu o tym rodzaju piśmiennictwa nie może też nas odwodzić i ta jego sławiona użyteczność, którą najwięcej ludzkie umysły. Ież, wołają, wiedzy powieść rozszerza między massy; ież uczuć i wyobrażeń budzi w tej publiczności, której stan kultury zabrania przystępu do wyższych sfer nauki i sztuki; ież poetycz-

ności rozlewa przez to między niższe warstwy! Te i tym podobne dają się słyszeć głosy na cześć tej poetycznej encyklopedyi. Ileż złudzeń w tém wszystkim, odpowiemy my znowu na to, ile dobrowolnego zaślepienia, ile nieznajomości mass i serca ludzkiego! Jeśli gdzie niedoucstwo gorszem jest od nieuctwa, to niezawodnie tam, gdzie nauka jest tylko przyprawą fantazyi, gdzie gruntowny wykład nie może być udzielanym ani nawet żądanym, gdzie nauczyciel żadnej nie ulegając kontroli, przed własnem nawet sumieniem ma wymówkę, że sam sobie swój świat stwarza! A jakżeż niebezpiecznemi znowu są przykłady, które najlepsze nawet stawiają romanse! Jakżeż szkodliwymi są ich ideały — tém właśnie, że nam są przystępnymi! Epopea, Tragedya, tworzą nie tylko ludzi idealnych, ale i sferę idealną, którą ich od nas zbawiennie oddzielają; budzą w nas szlachetne uczucia podziwu, uwielbienia, nie wywołują chęci złego naśladownictwa. Romans przeciwnie na gruncie domowego życia, w powszedniem otoczeniu, wyprowadza figury wółpoetyczne, wółrealne, tak zwodnicze właśnie — dla wół ukształconych. Któż kiedy spotkał się w życiu z Makbetem lub Learem; a jakżeż często ujrzymy dobrowolne a nieszczęśliwe kopie bohaterów Sanda i Balzaca! Cóż dopiero jeśli romans, jak u nas, staje się wyłącznym i powszednim chlebem czytającej powszechności, absorbuje wszystkie talenta i jedyny prawie głos publiczny zabiera?... «Drażniące opowiada-
« nie namiętności, dramat życia obecnego, jak go pojmujemy, niedotyka przyczyn, przedstawia tylko skutki,
« które są raczej zaraźliwe niż korzystne dla umysłów po-
« zbawionych wszelkiej innej uprawy. Było zawsze mojem
« zdaniem, że dobre romanse są bardzo użyteczne, lecz
« dla odczynku, nigdy zaś jako wyłączny i ciągły po-
« karm umysłu...» Któż wyrzeze te głębokie, pamiętnie słowa? Zaprawdę, nie pedant żaden lub moralista, których sąd p. Cieszkowski odrzuca, ale najznakomitszy, najgenialniejszy z nowoczesnych romansopisarzy: Georges Sand! I na tem godnem nwanie wyznaniu, przerywamy nasze ogólne postrzeżenia, przechodząc obecnie do szczegółowego rozbioru jednej z najcenniejszych polskich powieści, jaka się pojawiła w roku dopiero co ubiegłym.

KRONIKA.

Czytelnicy nasi mieliby zapewne prawo żądać abyśmy w tém miejscu a pod takim tytułem, dawali im streszczone sprawozdanie tego wszystkiego co w kraju się dzieje. I my poniekąd poczuwamy się do obowiązku układania dla nich tygodniowego obrazu życia polskiego w odczynie uaszej. Ale zadanie to, wóllmy z góry oświadczyć, przechodzi nasze możność. Tam gdzie jak u nas, cokolwiek prawdziwie pożytecznego obywatela dla narodu przedsiewzima, kryć się z tém zwykłe muszą albo uniewinniać przed rządami, i niemal dowodzić błahości swego przedsięwzięcia; tam o czém warto, o czém należy donosić, to zwykle przemija w głuchém milczeniu; dzienniki o tém niepiszą, a do nas choćby doszła wiadomość, niespieszylibyśmy się wcale z jej głoszeniem. Tam, ci co szczerze i z synowską miłością pospolitej rzeczy chcą służyć, muszą zawczasu wyrzec się jedynego dla wolnych obywateli nagrody: uznania swych ziómków; tam wdzięczność publiczna i popularność albo fałszywie bywa skierowana, albo otwiera drogę do przesławiania, wszelką, byle zacząć bronią, prowadzoną; i niemyślni bynajmniej nieprzyjaćlalom naszym pomagać do obliczania i ważenia sił, które jeszcze do walki są zdolne.

Ta jedna uwaga zdaje nam się powinna przekonać wszystkich, dla

czego sprawozdania nasze muszą być niezupełne, często przerywane i bez ciągu, i dla czego prawie zawsze ograniczać się będziemy na tem, co już dzienniki krajowe rozgłosily. Długa niewola i zajądlnością wrogów naszych dręczeni, powinniśmy byli wyrobić u siebie język, dla tych tylko zrozumiały, w których duszy gore miłość dla sprawy.

Ktoby chciał z dzienników polskich tworzyć sobie obraz życia publicznego kraju, przyszedłby do przekonania mylnych, nawet rozpaczliwych, gdyby były prawdziwe. Nie wielkością swą, ani zdolnością piszących, ani redakcyą, ale liczbą i gwarneń szczebiotaniem najgłośniejszą są między niemi dzienniki warszawskie. Wprawdzie umieszcza w nich swe prace kilku poważnych i sumiennych pisarzy; ale, z ich wyjątkiem, nigdy jeszcze dziennikarstwo polskie nieudało przykładowo takiej czczości umysłu a często i serca, lekkomyślności, trzpiotowatego i bez celu gadulstwa, takiego ubiegania się za lichym i w niskich jedynie sferach mogącym objawić się efektem, jak tego mamy przykład niemal codziennie w gazetach warszawskich. Wychowały sobie one pewnego gatunku pisarzy, którzy z każdego cyrku i menażeryi, ze skoków małp i niedźwiedzi, z każdego baliku i powszedniego koncertu, w języku francuzkimi frazesy przepłatanym, w długich i naczelnym kolumnach układają sprawozdania. Zapewne jest w każdym kraju publiczność która i takie, lub tylko takie, czytuje artykuły; gazeta jest jakby teatrem w którym i smieszki i trefnisie są potrzebne, ale ton sklepów piwnych i przedmioty ich zaigęcia, przenosić do redakcyi i dziennika, z wyłączeniem choćby nawet z ujmą rzeczy poważnej, jest zszarżaniem dziennikarstwa i pisarskiego powołania.

W naczelnym swym artykule *Gazeta Codzienna* tak opowiada przygotowania Warszawy do świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. «Wilmers przyjechał, Łepeczyński dał koncert, Molduano wystąpił ostatni raz niezawodnie, Chatkę w lesie przedstawiono, do Fausta balet się gotuje. » Pominałszy majoramę p. Müllera (tu redaktor wsuwa rekomendacyą anonsową) » czy to niedosyć materyału na kronikę dla pięknych czytelniczek naszych? » — « Onegdaj obie menażerye wystąpiły po raz pierwszy. W obydwu są egzemplarze bardzo ciekawe i nigdy tu niewidziane, choć w Kreutzbergowskiej więcej ich daleko. Ta druga zresztą daleko więcej jest urozmaiconą przedstawieniami; słów w niej więcej ukształcony od słonja pana Barnabo, którego znow lew przesadza na jego rozkaz, przeszkody wyższe od tych jakim dawały radę, przy pomocy uchylania i zniżania przegród konie Renzowskie. » Tu redaktor, znać po długiej i bezstronnej rozwadze, przechyla się na korzyść jednego z właścicieli owej menażeryi i jemu wróży ogromne powo-
« dzenie. » Oibryzane plakaty porozieszczane po rogach ulic jak onegdaj w pierwszym przedstawieniu donosily, tak później gdy zapal Warszawy (!) osłgać zaczęły, a jej czteroślutowki zamknęły się zapragną w zółwiej skorupie portmonetek (!), donoszą nam podobnie o największej osobliwości menażeryi, o owej *Szwedzkiej sławnej z młodości, wdzięków, siły i odwagi*, którą właściciel menażeryi zachował na desser, po uczcie, jaką dla miasta naszego (!) stanowi oglądanie żyraf laskonogich, lwów Azji i Afryki albo tygrysów Bengalu. » Tak więc redaktor podawszy w opisie menażeryi naukę swęj publiczności, zaostroża jej ciekawość widzeniem silnej i młodej Szwedki!!

Gazeta Warszawska niezaniebala także kolumn swych zapelnąć opisem owych menażeryi. Jęj rozwiokły, pełen pretensyi i szczebiototliwy sprawozdawca, odróżniający się znaczkiem *, spieszy zawiadomić że obie menażerye zwiedził, w naczelnym także artykule zastanawia się nad bogactwem obu, i przystępuje do opisu sklepów, które zapelniają się.... «bombonierkami wysokiego gustu i elegancyi, iluminowanymi choinkami, przeslicznymi sukniami które p. Szlenker sprowadził z Paryża, i t. p.!»

Takimi i tym podobnemi sprawozdaniami, których niezgrabne naśladownictwo ohudziły u nas korespondeney dziennika *Independance Belge*, zapelnione są zazwyczaj gazety warszawskie. Czytelnicy niewiedzą nam za złe, że się tym razem niemi dłużej zajmować niebędziemy. Ciężko jednak pomyśleć, że każda z warszawskich redakcyi odbija trzysta sześćdziesiąt tego rodzaju arkuszy co roku, i jaka ztąd szkoda, nietyłe nakłady pniejącego, ile czasu i usposobienia czytelników! W tych płochych, udanej wesołości i niedowcipnych feletonach smutno się odbija Warszawa; czemuż więc niejśce poważnych jęj pisarzy zajęli zbyt młodzi, pustego umysłu, a miejsce jęj publiczności gawiedz niemyśląca i w rubasznych plótkach zakochana!

— Umieściliśmy, zeszłego roku, testament ś. p. Konstantego Świdzińskiego, którym zbiór swój do dziejów polskich odnoszący się, połączył nazawsze z majątkiem Margrabiego Wielopolskiego, pod warunkiem aby w Warszawie przechowywany, przystępny był dla całej publiczności. Zbiór ten składa się z biblioteki książek i rękopismów bardzo znacznej i ważnej, (o rzadkości dzieł posiadanych przez Świdzińskiego

eszcze przed r. 1830 wiele mówiono i pisano); z galerii obrazów których jest przeszło 200; z bogatego dosyć zbioru numizmatów; 7,000 rycin i sztychów; kilkuset oryginalnych dyplomatów polskich, łacińskich, ruskich i mianinich, i wielkiej liczby pamiątek historycznych, dawnych przyborów zbroi i t. d. Na utrzymanie tego muzeum w Warszawie ś. p. Świdziński zapisał dobra swoje Sulgostów. Testator cenil je na 300,000 zł. p.; tymczasem pokazało się że sam las wart jest przeszło milion. W r. 1855—6 dochód z Sulgostowa przyniósł 120,000 zł. pol.; nielicząc lasu od lat trzydziestu niekniętego. Na dom dla przyszłego muzeum proponują w Warszawie dawniejszy gmach biblioteki Żalskich.

— Od lat kilkunastu wzięto się u nas czynnie do zbierania i wydawania materyałów historycznych. Chociaż chwalebny ten popęd w kraju zwołał znaczenie, winniśmy jednak niezmordowanemu w pracach literackich Kraszewskiemu, ciekawemu Pamiętniki Jana Dmki Ochockiego, malujące żywy obraz ostatnich chwil niepodległego bytu Polski, a drukowane w odcinku *Gazety Warszawskiej*. Dalszy ciąg i dopełnienie tych pamiętników, stanowią wyjątki z rękopismów wielu innych współczesnych jemu osób. W jednym z takich wyjątków znajdujemy szczegóły odnoszące się do smutnego zdarzenia, które posłużyło Malczewskiemu za osnowę poematu *« Maryja »*. Szczegóły te opowiedziane przez człowieka znającego z bliska dom Potockich, i naocznych świadków wypadku, zasługują na uwagę i wiarę. Oto ich treść skrócona.

Franciszek Salezy Potocki, Wojewoda Kijowski, był panem obszer-nych ziem w tej części kraju, która później imię Galicyi otrzymała i na Ukrainie. Mieszkał on w Krystynopolu przy ujściu Żółki do Bugu, w dawnym województwie Belzkiem, w dzisiejszym obwodzie Żółkiewskim. Żonaty z Anną Potocką, Wojewodzianką Poznańską, miał z niej cztery córki i jednego syna, Stanisława Szczęsnego, pospolicie dzisiaj zwanego tylko Szczęsnym.

Szczesny, urodzony 1753 r., był wychowany w domu, przez księdza Pijara Wolfa, który — jak powiada autor — wpoił w niego mniemanie, że tron elekcyjny i demokracja szlachecka z prawem powszechnego głosowania, kierowana wpływem arystokracji, były nietykalną gwarancją polskiej wolności. Przyszły dynasta na Humanu, Tulczynie, Brahiłowcu, Mohylowie, Krystynopolu, Tartakowie, Dukli, Chorostkowie, Strusowie i Wielkich-Oczach, Starosta Rubieszowski, Sokalski, Opaliński, Hajsyński i Zwinogrodzki, niepędził odludnego życia w rodzicielskim domu. Dwór Wojewody był okazały i liczny. Oprócz mnogiej służby z młodzieżą szlachecką, trzydziestą znakomitych obywateli nosiło tutaj Dworzan, a marszałkował im jeden z książąt Galicyi, książę Sierakowski, Starosta Zawidzki. Bawiono się weselo i ciągle trwały zjazdy magnatów. Do najwykleszych i najupodobańszych gości należeli książęta z sąsiedztwa Kasztelanów Komorowskich. Śliczna ich coka zajęła mocno serce Wojewodzica.

W roku 1770, gdy dżuma od granic tureckich rozszerzyła się aż do Rusi Czerwonej, rozciągnięto dla zabezpieczenia domu Wojewody kordon wojskowy, który wraz z Krystynopolem Tartakow i Sokal dookoła opasał. Wice Komorowskich została za kordonem. Stęskniony długim oddziałem od młodego sąsiedztwa Szczesny, prosił matki żeby mu było dla ruchu i ćwiczenia sił objężdżać strażę rozstawioną przeciw wro-razie. Wojewodzina, która nigdy niepuszczała z pasków dzieciennych pieśczonego jedynaka, niełatwo przystając na to, powierzyła go ochmistrzowskiemu dozorowi Starosty Sierakowskiego. Wojewodzic, jak młody najępczyciel korzystał z tej sposobności widywania panny Komorowskiej, zapalał się coraz gwałtowniejszą miłością ku niej, i nareszcie oświadczył się z prośbą o jej rękę. Rodzice radzi byli mieć zięciem takiego magnata, a pan ochmistrz budując sobie na łasce młodego panicza wielkie nadzieje, zezwolił na tajemne zaślubiny kochanków.

Ale ciągle wyleczi Wojewodzica, zwrócili na się badawcze oko zauszników dworskich, a ci docieklży tajemnicy, panu ją objawili. Mniszchowa, Kasztelanowa Krakowska, która wtedy już zamierzała córkę swą wydać za Szczęsnego, poradziła Wojewodzic, aby nieodpo-żony od gwałtownych środków, nadzieja wreszcie zyskania na czasie, wleci woli jego synową uwoził z domu rodzicielskiego do Lwowa, tam osadziwszy ją w klasztorze panieńskim, gdzie krewna Wojewody była Przełożoną, rozpoczął sprawę rozwodową, a syna wysłał za granicę.

Nieszczęśliwy nowożeńiec, z wielu okoliczności mógł się domyślać, że ojciec wie już o jego małżeństwie, i zerwanie związku tego wymodził nim postanowił. Nekany smutkiem tajemnym, jednego razu będąc w mieszkaniu siostr swoich, padł na sofę i omdlał. Wojewoda uwad-żony o tym, przyszedł natychmiast, i kazawszy wszystkim ustąpić został sam na sam z synem. Ukryta w zakęcie pokoju panna Mładanowiczówna, która po stracie rodziców w rzezi Humańskiej, miała przytu-

na dworze, była świadkiem rozmowy między nimi, i tę później spisaną przez się czytała autorowi pamiętnika.

Wzruszony ojciec łagodnie mówił synowi, że wie o jego plochym po-stępku i że go przed matką, bo toby ją zabiło, że jeżeli więc niechce wtrącić jej do grobu, powinien zezwolić na rozpoczęcie rozwodu, a ufać że to zerwanie związków, będzie jego małżonce wynagrodzone hojnie. Przekonanie o niezłomnej dumie rodziców, chęć ubezpieczenia kochanej ngiły zbolalego młodzieńca: wyjął słowa uległości i poddania się woli ojcowskiej.

Wojewoda, po tak wyciśnionem zezwoleniu, kazał zaraz przywołać do siebie komendanta dragonii i dał mu rozkaz, aby z oddziałem swęj jazdy wpadł nocną porą do domu Komorowskich, i porwawszy ich córkę przywoził w zakrytym powozie do Krystynopola. Gdy komendant błagając pana na kolanach uwolnił się od złeczonego mu postannictwa, spełnienie bezprawia dostało się z kółci Wilczkowi i Dąbrowskiemu, dowodzącym kozaków nadwornych. Ci najechawszy dom spiących Komorowskich, córkę ich, już brzemienną, wynieśli z pokoju niemającą na sobie nic więcej prócz bielizny i zielonej kitajkowej spodniczki, włożyli do sań krytych, otulili pierzynami i puscili się w drogę do Krystynopola.

Uchodzącym ze swą zdobyczą zdarzyło się spotkać w lesie trzysta fur chłopskich ze zbożem ciągnących jedna za drugą. Rozminę się niebyło sposobu, musieli usunąć sanie na bok i czekać aż póki cały szereg nie przejdzie. Tymczasem, z obawy żeby jęki i krzyki uwożonej niedały się słyszeć, tak zapychali budę sań poduszkami, że i oddychać nie mogła. Kiedy podwozy chłopskie przemigły, znalazł ją, bądź dla braku powietrza, bądź ze strachu umarłą. Wodzowie haniebnę wyprawę, uradzili wtedy między sobą, że im nic innego niepozostawało, jak tylko zatrzeć wszelki ślad porwania. Wrzuciwszy więc zwłoki nieszczęśliwej do przegrębi w pobliskim stawie, sami uszli na Ukrainę do dóbr wojewodzich.

Niedaleko stawu był folwark należący do klucza Krystynopolskiego. Na wiosnę, ekonom tego folwarku, Kosowski, obchodząc rano obory i gumna, postrzegł pomiędzy krą złamanego już lodu, pływające ciało. Po zielonej jedwabnej spodniczce domyślił się, że to była zatracona bez slychu panna Potocka. Uprzedzając więc przybyłe ludzi pańszczyznia-nych, samowtór z gumienym wykopał dół, i zagrzebał w nim tajemnie zwłoki biednej ofiary gwałtu. Otrzymał za to dożywotnią gratyę, i dom Potockich opiekował się jego dziećmi.

Potocki, dowiedziawszy się o stracie swojej żony, wpadł w rozpacz i chciał sobie życie odebrać. Wierny jego sługa, Bistecki, le-
dwo zdołał wyrwać mu z rąk zakrwawiony szczyryk, którym gardło so-
bie podrzynał, i potem na krok go nieodstępował, aż póki nieodzyskał
spokojności umysłu. Dla rozzerwania pierwszych chwil boleści, Woje-
woda wyprawiał go za granicę. Za powrotem z tej podróży nieznalazł
już rodziców; matka umarła pierw, ojciec później, wkrótce po zajęciu
Galicyi przez Austryę. Dziwnem zrządzeniem losów ludzkich tak się
złożyło, że ta sama Józefina Mniszchówna, Kasztelanowa Krakowska, któ-
rą matka podała Wojewodzie myśl gwałtownego zerwania pierwszych
związków Szczęsnego, została drugą jego żoną. Nigdy jednak niewygasił
w sercu jego ani ogień pierwszej miłości, ani żal po stracie Komorow-
skiej. Miniaturę jej do śmierci nosił na piersiach i z nią pochowany
został.

Komorowsy rozpoczęli byli proces kryminalny przeciw Wojewodzic Potockiemu, który trwał jeszcze po jego zejściu ze świata. Powiadano, o czem wątpię — dodaje autor — że miał być wydany wyrok na wyjęcie z grobu i wywieszenie haniebne zwłok Wojewody; ale Szczesny odstą-
pleniem kilku wsi zagodził famlią Komorowskich, a gdy ci niepopierali
procesu, sprawa sama przez się upadła. To pewna jednak, że w lat kil-
kanaście po smutnym wypadku, kiedy Potocki z drugą żoną mieszkał
w Tulczynie, odwiedził go po raz pierwszy brat Komorowski. Powita-
nie ich mocno zdziwiło dzieci starsze, zrodzone z Mniszchówny, które
patrzyły jak ich ojciec rzewnie i łamił załany, z uczuciem najserdecz-
niejszej miłości braterskiej długo przyciskał do piersi nieznajomego im
człowieka. Wówczas dopiero pierwszy raz dowiedzieli się od matki
swojej, że ona była powtórną żoną ich ojca, a gość przybyły bratem
pierwszej jego małżonki.

Redaktor, Felix Wrotnowski.

W drukarni L. MANTYART, przy ulicy Mignon, 2.